

Jeszcze wczoraj o tej porze byliśmy razem. Teraz jest trudniej. Trudniej niż w momencie rozstania.

Dziś wieczór jest mi bardzo źle, Panie, i jestem bardzo samotny. Ból budzi się powoli, jakby przestawała działać narkoza. Wiedziałem, że tak będzie.

W pierwszej chwili trudno zdać sobie z tego sprawę. Dopiero potem, jak miną dwadzieścia cztery godziny.

Nie wiem, co innego będę mógł powiedzieć Ci, Panie, oprócz tego, że czuję ból.

Wczoraj o tej porze...

W miarę jak zbliżał się moment rozstania, czułem, że najtrudniejsze będzie żyć dalej nazajutrz, po upływie doby.

Żyć dalej, Panie, kiedy już zupełnie nie mam na to ochoty ani nie odczuwam radości. Teraz wszystko mi jedno. Na korytarzu w pociągu mówiłem sobie, że odtąd nic już nie będzie w stanie mnie zranić ani sprawić, żebym cierpiał.

Pragnąłem gorąco nigdy już z nikim się nie wiązać, żeby się nie męczyć. Powiedziałem sobie: „Gdyby to mogło być już ostatni raz...”

O Panie, gdyby rzeczy i ludzie mogli utracić zdolność przywiązywania mnie do siebie!

Skoro w końcu zawsze muszę je porzucić... Skoro nic nie może trwać. Skoro naprawdę nic nie jest wieczne.

Ponieważ ta ostatnia obecność została mi odebrana, mówiłem sobie, że w gruncie rzeczy nadeszła pora, bym uwolnił się od możliwości kochania.

A teraz zastanawiam się, Panie, czy miałem rację, rozumując w ten sposób.

Zamknąć się na innych, żeby nie narazić się któregoś dnia na cierpienie... To byłoby oczywiście jakieś „wyjście”. Niezbyt zresztą oryginalne, stare jak pogańska Mądrość, jak bunt serca wobec zamętu wywołanego czyjąś nieobecnością.

Ale jest w tym zbyt dużo urazy, zbyt dużo bólu, żeby miało ono być prawdziwe i czyste, i proste jak Twoja Ewangelia.

Zresztą lepiej, żebym dziś wieczór popracował, jakoś się rozerwał. I spróbował spać. Jutro

zobaczymy.